

POLEMIKI: „NA POLSKICH PISARZY”

NA KOŹNIEWSKIEGO

BOGDAN KLUKOWSKI

AUTOR artykułu „Na polskich pisarzy” (POLITYKA 25) w zakończeniu zaprasza do kłótni o kondycję polskiej literatury współczesnej, szczególną uwagą obdarzając autorów młodych i tych ze średniej generacji. Kłótnia nie jest wprawdzie moją ulubioną formą uczestnictwa w życiu publicznym, więc i tym razem poprzestane na kilku uwagach. Warto chyba wskazać na pewne sformułowania Koźniewskiego, wymagające uściślenia.

Już w pierwszym zdaniu artykułu widoczna jest tendencja do pomieszczenia kategorii artystycznych z socjologicznymi: „Literaturą jest dopiero to, co zyskuje sobie szeroki odbiór czytelnicy”. Sformułowanie to, w wersji rozbudowanej, powtarza jeszcze Koźniewski kilkakrotnie, posługując się m. in. przykładami książek Bratnego „Rok w trumnie”, Myślińskiego „Kamień na kamieniu” i Nienackiego „Raz w roku w Skiroławkach”.

A przecież masowość nakładu książek i masowość ich odbioru nie stanowi żadnej kategorii literaturoznawczej, o czym przekonujemy się od lat. Poręcznym i może nadmiernie eksploatowanym przyk. dem jest choćby twórczość Cypriana Norwida, nie doceniona przez współczesnych i zapomniana przez pokolenie synów. Także „Ballady i romanse” Mickiewicza — ich pierwsze wydanie ukazało się w nakładzie zaledwie 2 tys. i spotka-

ło się z entuzjastycznym przyjęciem przez młodzież literacką, a ze zgrzytliwymi uwagami „krytyków warszawskich”. Sytuacje sprzed półtora wieku są wprawdzie zbyt mało porównywalne ze współczesnością, ale nie można, jak to czyni Koźniewski, mieć pretensji do młodych pisarzy, że nie piszą tak jak ich starsi koleldzy.

Koźniewski, typowy przedstawiciel i współtwórca epoki kultury masowej, przyjął jako oczywistą tezę, że twórczość, aby była uznana, musi mieć „szeroki odbiór czytelnicy”, ale dalej pisze jednak, jakby przecząc sobie, że twórca ma prawo do eksperymentu. Wiadomo jednak, że immanentną cechą eksperymentu jest jego laboratoryjny, więc bardzo ograniczony zakres. Nie ma więc prostej zależności pomiędzy powodzeniem czytelnictwem a wartością artystyczną utworu literackiego, chyba że wszyscy umiemy się co do tego, iż od dziś Mniszkówna i Rodziewiczówna stanowią szczytowe osiągnięcia polskiej literatury.

Twierdzi Koźniewski, że cała generacja „literatów polskich średniego, już teraz coraz młodszego pokolenia” zrezygnowała „z jakichkolwiek prób zdobywania zainteresowania nieco szerszego kręgu czytelników... zagłębiając się w nory i meandry eksperymentów wyłącznie językowych, stylistycznych bądź kompozycyjnych”, unikając jak ognia tematów dla czytelników waż-

nych, „podstawowych tematów moralnych, społecznych, ideowych, państwowych... zamykając się w penetrowaniu psychologii jednostek z marginesów, w analizowaniu stanów frustracyjnych, jednostkowych”.

W obserwacji tej jest pewna racja, ale nie można do jednego worka wrzucać zwolenników i realizatorów permanentnej rewolucji artystycznej oraz pisarzy rzetelnych, uczciwych wobec siebie i czytelnika, jak choćby wspomniani przez Koźniewskiego, Tadeusz Siewjak i Eustachy Ryłski. Autor artykułu ogranicza się wprawdzie do przykładów autorów dzieł prozatorskich, nie próbując wchodzić na grunt poezji współczesnej, ale sprawa i tak ma kontekst szerszy, dotyczący twórczości artystycznej w ogóle.

Zmiana tradycyjnych hierarchii w odbiorze i ukazywaniu świata przez artystów widoczna jest wyraźnie po drugiej wojnie światowej i ta sytuacja, także odchodzenie od opisywania i portretowania widoczne są i obecnie, gdy żyjemy ciągle w stanie zagrożenia na skalę światową, obserwując rosnące lawinowo zbrojenia i dostrzegając niewielkie efekty działalności ludzi dobrej woli. Artysty, nie będąc politykami, odczuwają to silniej i chcą swoimi działaniami uratować ludzkość od zagłady.

Nie chcę przez to powiedzieć, że słaba książka pisarza A. lub Z. wynika z permanentnego stanu uświadamiania sobie totalnego zagrożenia ludzkości, ale zarazem trzeba się zgodzić z tezą, że świadomość życia na wulkanie nie może pozostać bez wpływu na środki stosowane w artystycznej kreacji, także literackiej. Poszukiwanie nowych środków wyrazu w sztuce widoczne jest i dokonuje się nie tylko za sprawą awangardy różnych odcięci i poglądów: odejście od sztuki dworskiej, zarzucanie ulicznych portretów i rzeźbionych herosów, od jednowymiarowych postaci z filmów, dramatu i literatury pięknej. Nawet muzyka, choć na-

zywana sztuką asemantyczną, coraz śmielej wchodzi na obszary eksperymentów i nowych rozwiązań.

Czasem mówi się nawet, że twórczość okresu powojennego jest uprawiana przy towarzyszącym uświadomieniu ciągłego kryzysu, do tego dochodzą jeszcze cyklicznie powtarzające się nastroje schyłkowe końca wieku. To tylko niektóre z przyczyn, mogące stanowić usprawiedliwienie dla obserwowanej we wszystkich dziedzinach twórczości dekompozycji, poszukiwania takich środków wyrazu, które pozwolą ukazać fobie i niepokoje współczesnych. Niemożność zrozumienia świata, który nas otacza, nadmiar informacji, poczucie zagubienia — dotyczy nie tylko grupy pisarzy polskich, którym Koźniewski „ma za złe”.

Ucieczką we własne wnętrze, próbą kreowania świata, jednostki ludzkiej, bo tylko w tym świecie można jeszcze czuć się w miarę pewnie — tak można nazwać tendencję pewnego odłamu literatury współczesnej. Na gruncie polskiej literatury tendencja ta jest oczywiście widoczna i może nawet należało o tym napisać, aby odpedzić młodych adeptów pióra od autotematyzmu i prywatności. Ale nie jest to przecież tendencja wszechobecna, a tak, generalizując, przedstawił ją Kazimierz Koźniewski.

Nie wdając się w ocenę potępianej przez autora artykułu generacji, można od razu wskazać na pisarzy, którzy wychodzą daleko poza własne wnętrze, poza swój czas także (ale to może znów spotkać się z przyganą?). Oto Józef Łoziński: w roku ubiegłym autor gorącej, rozkołysanej emocjonalnie i językowo powieści o latach 1980—1981 „Sceny myśliwskie z Dolnego Śląska”, a w tym roku autor powieści osadzonej w realiach narodzin chrześcijaństwa „Paulo Apostolo mari”.

To Ryszard Kurylczyk ze swoim „Jeruzalem, Jeruzalem...”, który w

celu rzetelnego napisania książki nauczył się języka aramejskiego, używanego przez Jezusa, to wreszcie autorzy zbiorów opowiadań o tematyce współczesnej: Leszek Girtler, Janusz Wachowski, Henryk Sekulski czy młody Marek Bukowski i jego powieść „Nic się nie zmieni”. Wreszcie Włodzimierz Paźniewski i Marek Pakciński — wchodzący na tereny modnej w świecie prozy esejistycznej.

Wszystko to ludzie młodzi lub pokolenie średnie, gdzieś niewiele po czterdziestce, bo tak rozumiem stworzoną przez Koźniewskiego na potrzeby artykułu kategorię generacyjną. Ten przykładowy zestaw autorów z ostatnich lat można jeszcze zwielokrotnić, ale i to wystarczy do wykazania, że nie wszyscy „młodzi i średni” grzebią się we własnej jaźni.

Świadczy to o różnorodności propozycji pisarskich, o rozrzućcie zainteresowań i stosowaniu różnych technik narracyjnych. Inaczej literatura współczesna, nawet ta najślusniejsza, byłaby nudna i bez większych szans na wejście nawet po kilku wiekach do panteonu formowanego przez szkolną polonistykę. Dobrze więc, że są takie powieści, których autorzy pokazują swoje „frustracje i bezsilności”, ale też i dobrze, że obok nich piszą autorzy książki męskie, poważne, do których tęskni Koźniewski.

Trzeba się natomiast zgodzić z Koźniewskim, że eksperyment literacki, nawet najbardziej ambitny, powinien mieć swoje granice. Najważniejszą zaś z nich jest czytelność. Jeśli zostaje przekroczony próg czytelności, wówczas będzie zablokowany kontakt pomiędzy autorem a czytelnikiem, między nadawcą a odbiorcą komunikatu — by użyć terminów socjologicznych. Zdarzają się przecież we współczesnej twórczości fałszywe, czeskie biżuterie, lśniące wydumanym blaskiem, a barszcze przygód i krupniki niespełnien przypominają wyśiki Mrożkowego wuja Stomila,

wpędzonego w sieć wiecznego eksperymentowania.

O różnorodności propozycji literackich można przekonywać się każdego roku, kiedy przybywają coraz to nowe nazwiska: choćby niepotrzebnie broniony przed sądami jednego krytyka Eustachy Ryłski, który za swój udany debiut zebrał więcej pochwał niż przygan, czy też autorzy, którzy po wydaniu pierwszej i następnych książek dalej trzymają się uprawianych wcześniej zawodów i nie zamierzają przechodzić na przedwczesne zawodowstwo, traktując literaturę jako sprawę ważną i poważną: Marek Harny, Andrzej Łuczeńczyk, Michał Łukaszewicz, Maria Poremba-Wolkowa, Marek Sołtyś, Andrzej Turczyński i wielu innych.

Koźniewski zbyt łatwo ustawił sobie temat i chłopców do bicia, pomijając przy tym twórczość poetek, rozwijający się intensywnie gatunek powieści naukowo-fantystycznej, książki z pogranicza prozy i esejistyki. Można rozumieć pasję Pana Kazimierza — oto wszyscy oczekujemy i przytupujemy niecierpliwie, byleby tylko ukazało się arcydzieło czterdziestolecia (albo półwiecza), a tu wciąż okazuje się, że to jeszcze nie to. Chcielibyśmy też znaleźć w literaturze zapis i indywidualną interpretację wydarzeń lat posterpniowych, a tu ciągle odnajdujemy fragmenty zamiast panoramy.

Nie twórzmy jednak mitów, że pisarze ujawniają tylko swoje frustracje, przecież oni nie umawiają się na tajemnych spotkaniach co do tematyki swoich książek. „Słuszną tematyka” nie zawsze mieści się w „ślusznym” realizacjach, na dodatek już dość dawno odeszło się od tworzenia normatywów dla literatury. Dajmy pisarzom trochę czasu i swobody i spokojniej czekajmy na arcydzieła. Przyczyny ich frustracji i niepokoju leżą poza sferą literackości, niech więc po swojemu pokazują to wszystko, co ich niepokoi.